



**SZYMON NOWAK**

# **BITWY WYKŁĘTYCH**

**FRONDA**

# **BITWY WYKŁĘTYCH**

**SZYMON NOWAK**

# **BITWY WYKŁĘTYCH**

**FRONDA**

Projekt okładki, mapy  
Radosław Krawczyk

Zdjęcie na okładce  
SPOT Łukasz Dyczkowski

Dyrektor Projektów Wydawniczych  
Maciej Marchewicz

Korekta i redakcja  
Ewa Popielarz

Skład i łamanie  
TEKST Projekt, Łódź

© Copyright by Szymon Nowak, Warszawa 2016  
© Copyright for Fronda PL, Sp. z o.o., Warszawa 2016

ISBN 978-83-8079-034-6

Wydawca  
Fronda PL, Sp. z o.o.  
ul. Łopuszańska 32  
02-220 Warszawa  
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35  
Faks 22 877 37 34

e-mail: [fronda@fronda.opl](mailto:fronda@fronda.opl)  
[www.wydawnictwofronda.pl](http://www.wydawnictwofronda.pl)  
[www.facebook.com/FrondaWydawnictwo](http://www.facebook.com/FrondaWydawnictwo)

*synowi Jakubowi*



# Spis treści

Wstęp .....	9
KRESOWE TERMOPILE	
Surkonty, 21 sierpnia 1944 roku .....	15
MAŁY ARSENAŁ	
Łowicz, 8 marca 1945 roku .....	45
„ZAPLUTE KARŁY” Z AK	
Skrobów, 27 marca 1945 roku.....	81
JEŃCÓW NIE BRANO	
Kuryłówka, 6 maja 1945 roku.....	113
JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH	
Las Stocki, 24 maja 1945 roku .....	151
BEZ JEDNEGO STRZAŁU	
Pabianice, 10 czerwca 1945 roku .....	189
W PONIEMIECKICH OKOPACH	
Majkowice, 8 lipca 1945 roku.....	221
BRACIA	
Kielce, 4/5 sierpnia 1945 roku.....	253

CZOŁGI, KROWY I SAMOŁOT	
Sikory, Zaleś, 8/9 sierpnia 1945 roku .....	291
OSTATNIE NABOJE MAJORA	
Miodusy Pokrzywne, 18 sierpnia 1945 roku .....	323
KŁOPOTY	
Radom, 9 września 1945 roku.....	347
STRZASKANE KOŚCI	
Gajrowskie, 16 lutego 1946 roku.....	373
W PLECY DO SWOICH	
Radomsko, Graby, 19/20 kwietnia 1946 roku.....	409
TROPEM ZŁAMANEJ PODKOWY	
Brzozowo-Antonie (28 kwietnia 1946 roku)	
i Czochanie-Góra (30 kwietnia 1946 roku) .....	443
ZASKOCZENIE	
Zwoleń, 15 czerwca 1946 roku .....	477
Zamiast zakończenia.....	513
Bibliografia .....	515



# Wstęp

Niniejsza praca prezentuje największe bitwy stoczone przez polskich żołnierzy podziemia antykomunistycznego oraz jedne z ich najbardziej spektakularnych akcji. W publikacji nie mogło zabraknąć najbardziej znanych walk – w Lesie Stockim, Kuryłówce, Surkontach i Majkowicach. Opowiedziano również historię szeregu toczonych jedna po drugiej bitew pierwszego szwadronu „Zygmunta” z 5 Brygady Wileńskiej AK „Łupaszk” oraz bojów 6 Brygady Wileńskiej AK „Wiktora”. Na kartach książki przedstawiono także wstrząsające i kontrowersyjne działania 3 Wileńskiej Brygady Narodowego Zjednoczenia Wojskowego „Burego”, wraz z dramatyczną bitwą w Gajrowskich, oraz nieudaną akcję oddziałów „Zagończyka”, zakończoną niespodziewaną walką pod Zwoleniem. Zmagania polskich żołnierzy powstania antykomunistycznego to jednak nie tylko bitwy, to także akcje bojowe na komunistyczne więzienia. Walki o uwolnienie braci i towarzyszy broni toczyły się w Kielcach, Radomiu, Radomsku. W obozie NKWD w Skrobowie, aby odzyskać wolność, wywodzący się z AK więźniowie sami chwycili za broń. Natomiast w Łowiczu i Pabianicach polscy konspiratorzy za pomocą przebiegłych fortelów bez strzałów wtargnęli do więzień i uwolnili skazańców.

Zanim usiadłem i zacząłem pisać o bitwach, potyczkach i akcjach Żołnierzy Wyklętych, zastanawiałem się, w jaki sposób najlepiej opowiedzieć o tych niecodziennych, wyjątkowych i nierównych zmaganiach. O tej prowadzonej odwiecznej walce dobra ze złem, która w powojennej Polsce przyjęła z jednej strony postać Żołnierzy

Wyklętych, z przeciwnej zaś – sowieckich żołdatów Czerwonej Armii i NKWD, polskich żołnierzy z komunistycznej armii tzw. „ludowej” i funkcjonariuszy UB oraz MO. Bo przecież tej walki nie można w żaden sposób porównać do średniowiecznych bitew, mających coś z rycerskich pojedynków, gdzie, jak pod Koronowem, rycerze polscy i krzyżacy robili sobie przerwy w boju za obopólną zgodą. Bitwy Wyklętych to też nie starcia epoki napoleońskiej, z wielkimi szarżami oddziałów kawalerii, podczas których kule armatnie żłobiły krwawe tunele w olbrzymich masach wojskowych kolumn. Starciom polskiego podziemia antykomunistycznego daleko również do walki pozycyjnej i okopów pierwszej wojny światowej czy też niemieckiego *Blitzkriegu* z początków drugiej.

Z jednej strony czasami Wyklęci i ścigający ich żołnierze „ludowego” Wojska Polskiego czy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego dogadywali się i rozchodzili bez oddania strzału. Honorowo, jak turniejowi rycerze średniowieczni. Ale na przykład pod Kuryłówką na Sowietów z NKWD spadł niespodziewany atak konnej grupy z oddziału „Wołyniaka”, co wywołało panikę w szeregach sowieckiej kompanii. Innym razem, pod wsią Brzozowo-Antonie do szarży na komunistów ruszył „Bury” ze swymi konnymi zwiadowcami. Polscy niezłomni partyzanci ostatniego z powstań, podobnie jak w przypadku konwencjonalnych bitew ówczesnych światowych armii, musieli częstokroć stawiać czoła atakującym ich samolotom, czołgom, samochodom pancernym i transporterom opancerzonym oddziałów komunistycznego wojska i ich sowieckich sojuszników. Wyklęci strzelali do czołgów i niszczyli samochody pancerne wroga. Niejednokrotnie ich pozycje ostrzeliwane były przez pociski artylerii i moździerzy, a przedpole żłobił ogień prowadzony z najcięższych karabinów maszynowych, cekaemów i erkaemów. Nie była to wojna pozycyjna, ale czasami do obrony wykorzystywano okopy, jak w przypadku ciężkich zmagających pod Majkowicami. Walki Wyklętych przybierały różne formy,

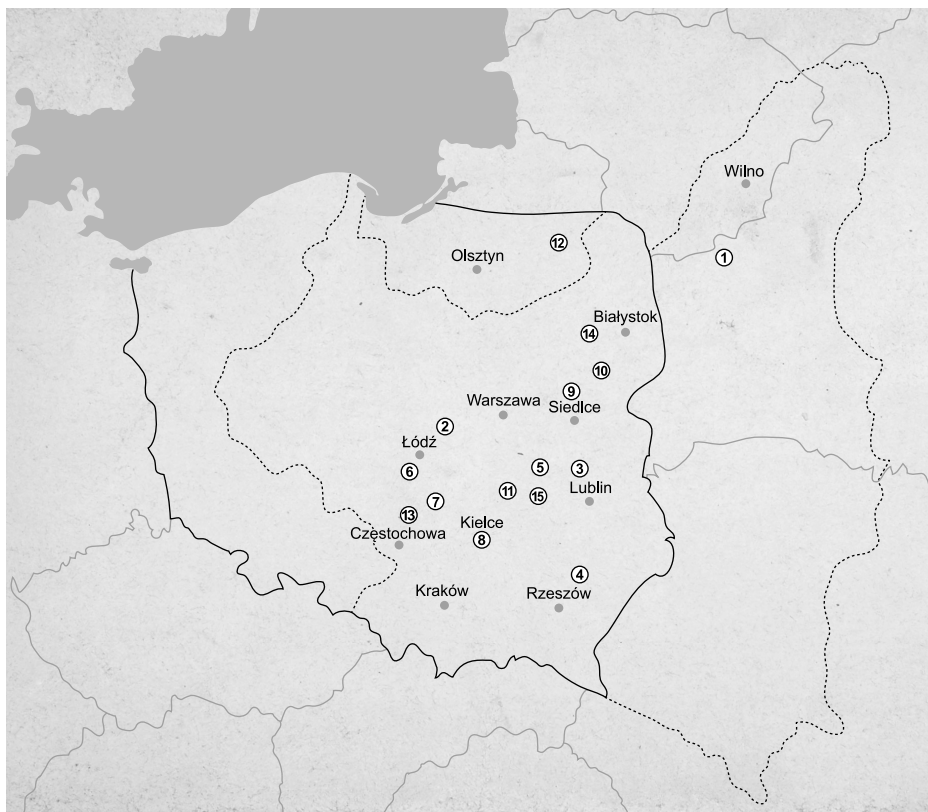


*Grupa partyzantów z 5 Brygady Wileńskiej AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”.  
 Stoją od lewej: Rajmund Drożd „Mikrus”, Roman Rogucki „Mucha”, „Willi”, NN, NN,  
 Zofia Ważyńska „Zosia”, NN, „Lisek”, „Osterna”.  
 Na dole (7) Władysław Kendys „Tarzan”  
 (Instytut Pamięci Narodowej)*

.....

ale chyba najbliższej im do partyzanckiej wojny szarpanej Powstania Styczniowego – potyczka, odskok, ucieczka przed obławą, obrona i wyjście z okrążenia. Potem kolejny atak, zmiana terenu i odpoczynek w najbliższej leśnej głuszy.

Kiedy zamykam oczy i myślę o bitwach Wyklętych, widzę młodą sanitariuszkę opatrującą rany funkcjonariuszy UB i milicji – swoich



## Bitwy i akcje Żołnierzy Wyklętych

—— współczesna granica Polski

..... granica II RP

- ① Surkonty
- ② Łowicz
- ③ Skrobów
- ④ Kuryłówka
- ⑤ Las Stocki
- ⑥ Pabianice
- ⑦ Majkowie
- ⑧ Kielce
- ⑨ Sikory
- ⑩ Miodusy Pokrzywne
- ⑪ Radom
- ⑫ Gajrowskie
- ⑬ Radomsko
- ⑭ Brzozowo – Antonie
- ⑮ Zwoleń

wrogów, którzy przed momentem gotowi byli do niej strzelać pomimo opaski z czerwonym krzyżem na jej ramieniu. Dziewczyna postępuje w imię maksymy największego wodza naszej cywilizacji, Napoleona Bonaparte, który po najbardziej krwawej jednodniowej bitwie wszech czasów, pod Borodino, powiedział, że po walce nie ma wrogów, są tylko ludzie... Potem niejeden z tych opatrzonych i uratowanych przez nią, w imię sprawiedliwego ładu społecznego, kłamliwie zezna przed sądem przeciw tej samarytańskiej dobroci. Później zamykam oczy i słyszę głos podkomendnych „Burzy”, którzy osaczeni pod Majkowicami, widząc masę sowieckich żołdatów, mówili: „Panie komendancie, tu nasze Termopile chyba będą...”. Albo słowa „Antka” z Szarych Szeregów, który przed akcją na łowickie więzienie polecił swoim harcerzom przysięgać na krzyż Chrystusa, że do ludzi z UB nie będą strzelać, bo to przecież też Polacy. I to dramatyczne pożegnanie najznamienszego antykomunistycznego partyzanta – majora „Łupaszki”, który idąc na śmierć ze swojej celi, zostawił współtowarzyszom niedoli swoje ostatnie słowa: „Z Panem Bogiem”.

Poznanie szczegółów na temat walk polskich partyzantów, ich bitew i akcji, pozwoli lepiej zrozumieć działanie Żołnierzy Wyklętych i targające nimi sprzeczności: bić się czy nie? Chciałbym, by prezentowana książka skłoniła czytelnika do zgłębienia i usystematyzowania wiedzy o zawilej historii naszej ojczyzny z lat 1944–1947. Czasu, w którym na ziemiach polskich rozgrywało się powstanie antykomunistyczne, a walka o wolność naszego kraju wkraczała w decydujący dla przyszłości Polski okres. Praca ta nie pretenduje do miana naukowej monografii, a bitwy i akcje Wyklętych przedstawione zostały w sposób popularyzatorski, częstokroć w formie zbeletryzowanej opowieści. To pierwsza taka książka, skupiająca na swych kartach szczegółową historię bitew i akcji żołnierzy tzw. drugiej konspiracji. Dodatkowym jej atutem są mapy zamieszczone w każdym

z piętnastu rozdziałów. W niektórych częściach książki opowiedziane zostały również powojenne losy wybranych dowódców oraz innych bohaterów tamtych walk.

W tym miejscu chciałbym podziękować Osobom i Instytucjom, dzięki którym mogłem poszerzyć swoją wiedzę o Żołnierzach Wyklętych, ale przede wszystkim odpowiednio zilustrować niniejszą pracę archiwalnymi i współczesnymi zdjęciami. Dziękuję bardzo: Lidii Lwow-Eberle, Teresie Hedzie-Snopkiewicz, Stanisławowi Burzy-Karlińskiemu, Aleksandrowi Arkuszyńskiemu, Adamowi Arkuszyńskiemu, Michałowi Bernaciakowi, Dionizemu Garbaczowi, Cezaremu Imańskiemu, Pawłowi Kendrze, Krystianowi Pielasze, Andrzejowi Pityńskiemu, Pawłowi Reisingowi, Kazimierzowi Szymańskiemu, ks. Stefanowi Wysockiemu, Wiesławowi Wysockiemu, a także: Electronic Museum, Fundacji Niezłomni, Instytutowi Pamięci Narodowej, Narodowemu Archiwum Cyfrowemu, Stowarzyszeniu Szarych Szeregów Oddział w Łowiczu, Światowemu Związkowi Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Radom i Urzędowi Miejskiemu w Łowiczu.

# **Kresowe Termopile**

Surkonty, 21 sierpnia 1944 roku





Słoneczne poniedziałkowe wczesne popołudnie rozleniwiło wszystkich. Po wczorajszej naradzie w sąsiedniej wiosce i nocnej wędrówce teraz każdy partyzant błogo przymykał powieki pod ciepłymi promieniami letniego słońca. Dodatkowo zjedzony przed momentem wspaniały obiad (gotowane kartofle i zsiadłe mleko) sprawił, że jedyne, o czym marzyli, to wyciągnąć się w cieniu drzew i zdrzemnąć choć na chwilę. Jeśli nie liczyć świergotu ptaków i szumu nieodległego lasu, w zaścianku Surkonty panowała cisza i błogi spokój. Przy jednej z chat jednoręki major Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz” w skupieniu dyktował coś swemu adiutantowi podchorążemu Henrykowi Nikiciczowi „Orwidowi”. Niektórzy czyścili broń, inni doglądali rannych z oddziału „Bustromiaka”, ale większość po prostu odpoczywała po nieprzespanej nocy. Obok wisiały lub leżały w nieładzie zdjęte z powodu upału mundury. Ot, taki bezruch letniego upalnego popołudnia, podczas którego rozsądni ludzie odpoczywają w chatach albo w cieniu drzew.

Ci z wystawionej warty, którzy musieli czuwać, nudzili się okrutnie. Bo cóż może wydarzyć się w poniedziałkowe popołudnie gdzieś na dalekich krańcach dawnych granic II Rzeczypospolitej, w rejonie Lidy, pod samą wielką Puszcza Ruską? Nawet nie wiadomo, czy to jeszcze Polska, czy może już sowiecka Rosja. Cóż z tego, że Sowieci wypędzili Niemców z Polski. Że Armia Krajowa (AK) pomagała w wyzwoleniu Wilna, że prowadzono rozmowy z sowieckim dowództwem. Co z tego? Teraz oddziały Armii Czerwonej i NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) szczują i tropią polskich partyzantów jak dziką zwierzynę. Co noc polscy żołnierze muszą zmieniać miejsce zakwaterowania. I wędrować od wioski do wioski, szukając łaska-

wych ludzi, którzy nie baliby się użyczyć im dachu nad głową i miśki strawy. Jak jakimś żebrakom... Łatwo było znaleźć gościnę wśród Polaków, gorzej w litewskich lub białoruskich wioskach, gdzie pełno było bolszewickich agentów. Takie obce miejscowości omijali z daleka. Dobrze, że choć tutaj spokój.

Tak myślał jeden z polskich partyzantów, stojący w najbardziej na północ wysuniętej czujce. Obserwował przez lornetkę sąsiednią wioskę Pielasę i przylegające do niej drogi. Miał przykazane, aby zwracać szczególną uwagę na tę litewską wieś i jakiegokolwiek ruchy odbywające się w jej granicach. Patrzył z lewa na prawo, a potem z powrotem i dalej, aż po horyzont. Później kładł się na plecach i, żując źdźbło trawy, patrzył w górę za goniącymi po niebie skowronkami. Słońce grzało mocno i oślepiało go swym blaskiem. Aby nie zasnąć, znowu zaczął lustrować najbliższą okolicę, ale wszędzie panował spokój. Partyzant powrócił do swojej ulubionej pozycji, moszcząc się wygodnie w zielonej trawie.

Nagle żołnierzowi trwającemu na warcie wydało się, że słyszy coś jakby dalekie brzęczenie roju pszczół. Natychmiast przyłożył lornetkę do oczu i powiódł wzrokiem w kierunku litewskiej wioski, a potem tam, skąd wydawał się dochodzić dziwny odgłos. Patrzył długo i dokładnie, ale początkowo nic nie było widać. Mimo to szum narastał. Nagle od północy zza lasu wyłoniła się ciężarówka i, nie wjeżdżając do Pielasy, zatrzymała się przed pierwszymi zabudowaniami. Spod plandeki zaczęli wyskakiwać uzbrojeni Rosjanie. Potem podjechało jeszcze kilka samochodów, dowożąc coraz więcej żołnierzy. Wartownik nie czekał na to, co będzie dalej. Przeżegnał się i, czołgając do tyłu, wycofał z punktu obserwacyjnego. Gdy znikły za nim chaty i wrogie ciężarówki, wstał i, nie oglądając się za siebie, pędem zbiegł do Surkont, aby jak najszybciej ostrzec swych towarzyszy przed niebezpieczeństwem.

Major „Kotwicz” cierpiał bardzo. Nie do końca zagojony kikut uciętej ręki palił go niemiłosiernie i trawił gorączką całe ciało. Wydawało mu się, że boli go głównie ta ręka, której już przecież nie było. Próbował tłumić ból gdzieś w środku, ale nie zawsze udawało mu się oszukać siebie i swoich żołnierzy. Szybko uczył się posługiwać tylko lewą ręką. Nawet pistolet umiał już w nią chwycić i całkiem celnie strzelał. Ale wiedział, że wymuszonym uśmiechem mającym przykryć grymas bólu nie oszuka najbliższych współpracowników.

Ból ramienia to nie wszystko. Major był rozbity w środku i psychicznie złamany jako żołnierz i jako dowódca. Maciej Kalenkiewicz na wojnie przeszedł już wiele. Walczył we wrześniu 1939 roku, był w partyzantce u „Hubala”, potem przedostał się do Francji i dołączył do polskiej armii gen. Sikorskiego. To „Kotwicz” był jednym z propagatorów lotniczego wsparcia armii podziemnej w kraju i zorganizowania zrzutów skoczków spadochronowych nazwanych później ci-chociemnymi. Sam był jednym z pierwszych, którzy zostali zrzućeni na teren Polski. Potem trafił do Okręgu Nowogródzkiego „Nów” AK i był pomysłodawcą operacji „Ostra Brama”, czyli próby samodzielnego wyzwolenia Wilna przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Ostatecznie nie wziął w niej udziału, ponieważ kilka dni wcześniej został ranny w rękę tak dotkliwie, że konieczna była amputacja.

Już na samo wspomnienie akcji wileńskiej „Kotwicz” wzburzał się niezmiernie i wszystko w nim grało. Może niepotrzebnie się denerwował, ale jako twórca tej koncepcji wiedział, że wszystko poszło nie tak, jak powinno. Według jego planów do walki o miasto miało ruszyć około dwunastu tysięcy żołnierzy z AK. Powinno to wystarczyć, aby wymieść z Wilna Niemców, i tak zagrożonych już nadciągającym frontem ze wschodu. Cóż z tego, jeśli do bitwy stanęła mniej niż połowa polskich żołnierzy. A do tego większość z nich działała jedynie poza miastem, atakując wycofujące się niemieckie oddziały. Nic więc dziwnego, że dopiero kiedy sowieckie wojsko ruszyło do



*Falszywa kenkarta mjr. Macieja Kalenkiewicza „Kotwiczę” wystawiona na nazwisko Jana Kaczmarka, 1942 r.  
(Electronic Museum)*

natarcia, Wilno zostało oswojone wspólnymi siłami przez Rosjan i Polaków. I wówczas zaczęła się gra. Podobno Sowieci byli zachwyceni polskimi partyzantami. Obiecywali utworzyć osobne dywizje i brygady z żołnierzy AK i wyposażyć je tak, jak sobie tego życzyli Polacy. To była tylko maska. Na rozmowy z wysokimi rangą dowódcami radzieckimi zaproszono polskich oficerów z ppłk. Aleksandrem Krzyżanowskim „Wilkiem” na czele i na wstępie wszystkich aresztowano. Stało się to tak szybko, że mający pilnować bezpieczeństwa Polaków partyzancki oddział por. „Wilhelma” nawet nie zdążył zareagować. Osamotnione polskie oddziały do Puszczy Rudzkiej wprowadzili oficerowie zastępujący aresztowanych. Droga do puszczy i pobyt tam był to dla zgrupowania AK czas ciągłych sowieckich prowokacji, nagłych ostrzeliwań, lotniczych bombardowań i nieustannie powtarzanych propozycji złożenia broni. Wszystko to doprowadziło do rozwiązania kilkutysięcznego zgrupowania AK i rozejścia się ludzi. Większa część powróciła do domów, inna grupa odeszła na zachód,

a z majorem „Kotwiczem” na Nowogródczyźnie pozostała ledwo setka partyzantów. I to jeszcze bardziej bolało majora. Dużo mocniej od niepowodzeń wileńskich i o wiele bardziej od ciągłego tępego bólu uciętej ręki. Trudne były wspomnienia ostatnich dni. Z kilkunastu tysięcy żołnierzy AK będących jeszcze przed miesiącem do dyspozycji ppłk. „Wilka”, pozostała ledwie garstka. Tu, w Surkontach, po dołączeniu kpt. Bolesława Wasilewskiego „Bustromiaka” i jego ludzi, było ich razem raptem około siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu żołnierzy. To zbyt mało, aby podejmować jakąkolwiek akcję. Dlatego też ciągle słaby po amputacji ręki major zaczął się w polskich zaściankach i skupił w tym czasie jedynie na przetrwaniu.

Helena Nikicicz „Czarna Magda”, prywatnie matka adiutanta majora, krzątała się po gościnnej izbie. Szykowała dla dowódcy deser – jego ulubiony przysmak – kogel-mogel. Kątem oka widziała przez okno pracującego majora i swego syna. „Kotwicz” coś dyktował, a „Orwid” próbował wszystko uważnie spisywać. W mocnym głosie majora słyhać było pewność siebie, ale z dyktowanych treści wynikało już coś zupełnie innego. Przez otwarte szeroko okiennice do izby wpadały strzępy zdań i „Czarna Magda” mimochodem notowała w pamięci fragmenty wypowiedzi „Kotwicza”.

– Zamiarem władz sowieckich jest likwidacja naszych oddziałów... – mówił komendant. – Naszą walkę o Wilno bolszewicy w swojej propagandzie przypisują nieistniejącym oddziałom litewskim i białoruskim... Istniało przypuszczenie, że bolszewicy zechcą wykorzystać nasze jednostki na froncie po ich dozbrojeniu, pozostawiając ich likwidację na bardziej sprzyjający moment... Na naradę ze strony sowieckiej przybyło samochodami ponad stu funkcjonariuszy NKWD, którzy aresztowali kilkunastu naszych oficerów... Haniebnie rozbiegliśmy się nawet nie pod ciosami przeważających sił, a jedynie ulegając naciskowi chwytów propagandowych NKWD...

Dalszej części już nie słyszała. Zabrała prawie gotowy deser i zanosła go majorowi. Ten uradował się, widząc swój przysmak, ustawił garnuszek pomiędzy kolanami, a lewą ręką próbował jeszcze dokładniej utrzczyć żółtka z cukrem. I wtedy nadbiegł chłopak z warty.

– Sowiec! – wykrzyknął, a to jedno słowo z miejsca postawiło cały oddział na nogi. Natychmiast sięgnęli po broń, amunicję i pozdejmowane mundury, a major z pistoletem w lewej ręce poprowadził partyzantów na stanowiska.

\* \* \*

Sowiecka Grupa Wywiadowczo-Poszukiwawcza 3 Batalionu 32 Zmotoryzowanego Pułku Strzelców Wojsk Wewnętrznych NKWD, załadowana na ciężarówkę, rażno mknęła naprzód. Oddziałem dowodzili starszy lejtnant Korniejko i młodszy lejtnant Bleskin, a ich celem miało być bandyckie zgrupowanie, które znajdowało się w rejonie chutoru Surkonty. Takie dyspozycje otrzymali bezpośrednio od naczelnika spraw wewnętrznych w Raduniu, kapitana bezpieczeństwa Czikina. Zgodnie z wydanym rozkazem mieli całkowicie zlikwidować bandę polskich legionistów, o której agenci donosili, że stacjonuje w tych okolicach.

Radzieccy dowódcy doskonale rozumieli, że Armia Czerwona zmagająca się z hitlerowskimi Niemcami musi mieć spokojne zaplecze. Na pamięć znali rozkazy z najwyższego szczebla mówiące, że wszystkich uzbrojonych „białych” Polaków należących do Armii Krajowej lub innych organizacji należy natychmiast rozbrajać i aresztować. Według radzieckiej propagandy polscy legioniści z AK współdziałali z Niemcami przeciwko radzieckiej partyzantce. A po przejściu frontu, zamiast grzecznie złożyć broń i zdać się na łaskę lub niełaskę czerwonoarmistów, część Polaków pozostała w lesie. Jak głosiły oficjalne wytyczne samego Józefa Stalina, w szeregach polskich

organizacji niepodległościowych pełno było faszystowskich szpiegów i pomocników Hitlera. Co tłumaczyło bezwzględność surowości, z jaką traktowano polskich legionistów z podziemnej armii.

Amerykańskie samochody ciężarowe z wymalowanymi na kabinach czerwonymi gwiazdami bez trudu pokonywały wstęgi polnych dróg.auta były całkiem nowe. Zdradzała to świeża, nieporysowana jeszcze farba i pracujące bez problemów na wysokich obrotach silniki. Przyplłyły niedawno do ZSRR drogą morską w jednym z konwojów z Zachodu, w ramach anglosaskiej pomocy *Lend-Lease*. A teraz śmigały po bezdrożach przedwojennych polskich Kresów Wschodnich, pracując na chwałę Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego (WBW) NKWD.

Pierwszy samochód na rozkaz dowódcy zatrzymał się jeszcze przed wsią, blokując drogę reszcie wozów. Kompania NKWD sprawnie opuściła pojazdy i stanęła do zbiórki. Sowiecki dowódca podzielił swój oddział na dwie grupy. Jeden pluton z ciężką bronią (cekaemy i erkaemy) obsadził południowy kraniec wsi Pielasa, zajmując stanowiska obronne skierowane w stronę Surkont. Pozostałą część kompanii poprowadził osobiście st. lejtnant Korniejko wraz ze swym zastępcą Bleskinem. Oddział ten pomaszerował najpierw na zachód, ale tuż przed mokradłami zwanymi Kamiennym Mostem skręcił na wschód, wprost na zabudowania Surkont.

Idący w środku grupy Korniejko nie spodziewał się większego oporu. Myślał, że będzie to raczej pokaz siły radzieckiego wojska i pacyfikacja bezbronnych cywilów, którzy, na swą zgubę, pomagali polskim partyzantom. Dlatego też bez zbędnej – zdaniem dowódcy – ostrożności uzbrojona kilkudziesięcioosobowa grupa maszerowała przez podmokłą łąkę. Kilka dni wcześniej Sowietci pobili jakieś dwa zgromadzenia polskich „bandytów”. Po pierwszych strzałach *Bielopoliaki* uciekały w popłochu. W zamiśle sowieckiego dowódcy tak miało być i teraz. Nawet jeśli w zabudowaniach kryli się uzbrojeni



*Partyzanci z Nowogródzkiej rozwijają linię obrony*  
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

.....

polscy „bandyci”, to na widok kompanii NKWD jak najprędzej dadzą nogę w przeciwną stronę.

Tymczasem Sowieci, idący tyralierą pluton za plutonem, powoli zbliżali się do polskiego zaścianka. Maszerując, pokonywali nierówną podmokłą łąkę, a miejscami musieli omijać niewielkie sadzawki pełne wody. Teren łączki graniczył z leżącymi na prawo niedostępnymi



bagnami. Mijając wodne oczka, radziecka tyraliera przełamała się, a żołnierze ustawili się jeden za drugim, by pokonać wąskie przejścia pomiędzy nimi. Zamiast bojowej linii powstało coś na kształt kolejki po obiad w wojskowej kuchni polowej. Zabudowania zaścianka były coraz bliżej, o rzut granatem, jak by powiedzieli wojskowi. I wtedy zagrały polskie karabiny.

\* \* \*

Widząc zbliżające się zastępy sowieckiego wojska, major w ciszy zarządził alarm i rozstawił na pozycjach podległych sobie żołnierzy. Na prawym skrzydle znaleźli się: „Kotwicz”, rtm. Jan Skrochowski „Ostroga” i adiutant majora – pchor. „Orwid”. Obok zajęła stanowisko obsługa erkaemu. Lewym skrzydłem, znajdującym się na wprost zbliżającego się nieprzyjaciela, dowodzili: kpt. Bolesław Wasilewski „Bustromiak”, jego brat por. Walenty Wasilewski „Jary” i kpt. Franciszek Cieplicki „Hatrak”. Polska linia obrony skupiona pośród zabudowań zaścianka liczyła może z pół kilometra długości, a dowódca miał do swej dyspozycji ogółem około siedemdziesięciu uzbrojonych i gotowych do walki żołnierzy.

„Orwid” trzymał się blisko swego dowódcy. Widział, jak ten daje na migi znak, że otworzenie ognia ma nastąpić wyłącznie na jego wyraźny rozkaz. Młody podchorąży ze zdenerwowania mocno ścisnął w dłoniach swoją pepeszę i ukradkiem ocierał pot z czoła. Po chwili zdjął rogatywkę, ucałował orła i przeżegnał się z namaszczeniem. W tym czasie „Kotwicz” dyskretnie obchodził stanowiska polskiego prawego skrzydła i obserwował przez lornetkę przedpole. W odległości majaczyły domy litewskiej wsi, dało się też już dostrzec sowieckich żołnierzy. Ale póki co szeregi nieprzyjaciół zbliżały się z drugiej strony, w kierunku odcinka trzymanego przez żołnierzy „Bustromiaka”. Kiedy zwarte szeregi napastników przełamały się, aby omijać

zagłębienia z wodą, major podniósł lewą rękę i, celując z pistoletu w bolszewików, wystrzelił pierwszy. Kula z broni „Kotwiczka” była z tej odległości niegroźna dla Sowietów, ale zaraz za nią odezwały się karabiny maszynowe, peemy i karabiny polskiego lewego skrzydła. Szczególnie erkaemy polskich partyzantów prowadziły celny ogień. Trafieni bolszewicy padali pokotem, niektórzy, lądując z pluskiem w sadzawkach, wzburzali wielkie fontanny wody. Już na początku nawałnicy ogniowej Sowietci ponieśli poważne straty. Rany otrzymali obaj sowieccy dowódcy. Żołnierze próbowali wyciągnąć swych lejtnantów spod ostrzału i przetransportować ich na zaplecze. Inni rzucili się na ziemię i zaczęli się ostrzeliwać, ale początkowo z małym skutkiem. Dopiero po kilku minutach, gdy polski ogień zaczął słabnąć ze względu na deficyty amunicji, Sowietci opanowali chaos w swych szeregach. To wtedy na naszym lewym skrzydle został trafiony i chwilę potem zmarł por. „Jary”. Również kpt. „Bustromiak” obficie krwawił z rany koło oka i skroni. Tymczasem Rosjanie ostrzeliwali Surkonty od północy, umożliwiając swoim żołnierzom wycofanie się. „Orwid” trzymał w ręku dymiącą jeszcze pepeszę z parzącą lufą, z której wystrzelił prawie dwa dyski amunicji. Szeroko otwartymi oczami patrzył wciąż na pole bitwy. Naliczył około trzydziestu ciał w radzieckich mundurach NKWD leżących nieruchomo wśród mokradeł. Niektórzy ranni próbowali czołgać się ku swoim, ale nikt już do nich nie strzelał. Walka, jak gwałtownie się rozpoczęła, tak raptem się zakończyła. Po kilkunastu minutach zapanowała cisza, jak gdyby nic nie wydarzyło się w to letnie popołudnie. Jedyne dochodzące z daleka jęki rannych Sowietów pozostawionych na przedpolu świadczyły o stoczonej przed chwilą bitwie.

Na rozkaz „Kotwiczka” polscy dowódcy wycofali się z pierwszej linii do obszernej stodoły, aby omówić sytuację i podjąć decyzję, co dalej. Zrozpaczony po śmierci brata i ranny „Bustromiak” zaproponował natychmiastowe wycofanie się do lasu.



*Major Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz” (na białym koniu) podczas inspekcji  
w 1 Batalionie 77 pp AK, Mocieczuki nad Niemnem, luty 1944 r.*

(Narodowe Archiwum Cyfrowe)

- .....
- Ale co z rannymi? – zapytał logicznie major.
  - Lekko rannych zabiorę ze sobą – odparł prędko „Bustromiak”.
  - A reszta? Jeśli porzucimy ich tutaj, to marny ich los. Gdybyśmy zostali do zmroku, moglibyśmy przetransportować wszystkich bezpiecznie. Co pan na to, kapitanie? – „Kotwicz” zwrócił się do „Hatranka”, który bez wahania zgodził się z dowódcą. Ale

„Bustromiak” nie dawał za wygraną i w końcu uzyskał zgodę majora na przygotowanie do wycofania grupy lekko rannych.

Jak do tej pory „Kotwicz” był zadowolony ze starcia. Pierwszy atak został odrzucony z wielkimi stratami dla nieprzyjaciela. Zanim Sowieci wylizają rany, zbiorą się do kupy i otrzymają posiłki, będzie już ciemno. A wtedy cały polski oddział ze wszystkimi rannymi zdoła wyrwać się z matni. Major z nadzieją patrzył w najbliższą przyszłość. Przytaknął nawet prośbie jednego z gospodarzy, który, wykorzystując przerwę w walce, chciał zwieźć zboże z pola.

– Bogu dzięki, że żyjesz! – po naradzie zaczęła „Orwida” matka.

– Mamuś, weź to i dobrze ukryj. – Adiutant majora podał „Czarnej Magdzie” jakieś zawiniątko. Jak się potem okazało, były to ostatnie rezerwy złota i dolarów Nowogródzkiej Komendy AK.

– A ty? Co z tobą, synku?

– Wracam. Nie skończyło się przecież jeszcze...

\* \* \*

Rosjanom bardzo ciężko było wydostać spod gęstego ostrzału swoich rannych. Dlatego ograniczyli się do ewakuacji jedynie postrzelonych ciężko dowódców. Korniejko był nieprzytomny, kiedy znoszono go z pola bitwy. Natomiast Bleskin rozkazał natychmiastowe wezwanie posiłków i, zanim skonał, przekazał dowództwo starszemu sierżantowi. Na jednej z ciężarówek znajdowała się radiostacja, za pomocą której udało się połączyć z dowództwem w Raduniu. W eter poszło rozpaczliwe wezwanie:

– Tu Surkonty, tu Surkonty Jesteśmy bici przez *Bielopoliaków*. Dowódcy konający. Przysłijcie natychmiast posiłki. Odbiór. Tu Surkonty, tu Surkonty!

Po tym desperackim apelu resztki kompanii NKWD obsadziły Pielasę i drogi z niej wychodzące. Sowieci nie mieli dość sił, aby drugi

raz atakować. Żyli nadzieją, że Polacy również zostawią ich w spokoju i odejdą bez walki na niezajete tereny – na wschód lub na bagna. Nerwowo trwając na stanowiskach i obserwując Surkonty, oczekiwali na odsiecz.

Po półgodzinie od wezwania na trzydziestu ciężarówkach przyjechał cały 3 Batalion NKWD prowadzony przez kpt. Szuglię, wzmocniony dodatkowo oddziałem milicji. Wraz z posiłkami dotarł na miejsce sam naczelnik bezpieczeństwa z Radunia – Czikin, aby osobiście dopilnować rozbicia polskiej „bandy”. Obaj przybyli kapitanowie przejęli dowodzenie nad całością grupy bojowej, tym bardziej że w międzyczasie zmarł na skutek ran także st. lejtnant Korniejko. Komuniści zabezpieczyli cały teren i opasali ścisłym kordonem Surkonty, w taki sposób, aby nikt żywy nie zdołał wydostać się z okrażeńia. Grupy NKWD znalazły się między innymi na południe od polskiego zaścianka, w Pielasie Starej, już za bagnami. A główny tron sowieckich wojsk gotował się do kolejnego natarcia, mającego wyjść tym razem z drugiej strony litewskiej wsi, bardziej od wschodu. Obsługi cekaemów zajęły wyznaczone stanowiska na skrzydłach planowanego ataku, a sowieccy dowódcy przez radiostację wezwali na pomoc dodatkowo samoloty bojowe. Gotowi do natarcia oczekiwali na przyłot wsparcia lotniczego.

Kilkanaście minut później obserwowali, jak nadleciały samoloty i zatoczyły łuk nad chutorem. Dowodzący wystrzelili rakiety, dając znak pilotom, gdzie znajduje się nieprzyjaciel i jakie cele należy atakować. Samoloty uderzyły z niskiego pułapu, ostrzeliwując pociskami zapalającymi zabudowania, w których schowali się Polacy. Kiedy pośród budynków pojawił się dym i pojedyncze słupy ognia, sowieccy kapitanowie dali znak do natarcia. Wówczas odezwały się ze skrzydeł cekaemy. Szczególnie jeden z nich, usytuowany na wzgórzu na lewym skrzydle Rosjan, miał znakomity wgląd w sam środek polskich pozycji. Celowniczy widział dokładnie stanowisko polskiego dowództwa

i erkaemu. Właśnie w tym kierunku prowadził ogień w czasie, gdy z jego prawej strony ruszyli do boju towarzysze z NKWD. Brał na cel kolejno obsługę polskiego erkaemu i jakiegoś oficera z dziwnie sflaczałym prawym rękawem munduru.

Samoloty zrzuciły jeszcze kilka małych bomb i odleciały, zostawiając za sobą płonące Surkonty, do których od północy zbliżała się już szeroka linia sowieckich żołnierzy.

\* \* \*

Kiedy sowieccy dowódcy dali samolotom bojowym znak do ataku, w Surkontach rozpętało się piekło. Dymiły domostwa, a ogień rozprzestrzeniał się błyskawicznie, łatwo przenosząc się z jednego słomianego dachu na sąsiedni.

Major „Kotwicz” pobiegł na pierwszą linię polskiej obrony i ponownie znalazł się wraz z „Orwidem” i „Ostrogą” na prawym skrzydle, tuż przy stanowisku erkaemu.

– W imię Boże – rzekł jednoreęki major. Wszyscy troje przeżegnali się z namaszczeniem, widząc nadciągające mrowie sowieckich żołnierzy.

I wtedy rozjazgotały się sowieckie cekaemy. Pociski leciały z każdej strony. Z góry, z prawa, z lewa i z centrum. Nie było takiego miejsca, gdzie można by się schować przed ogniem. Rozwiewany przez wiatr dym dławiał płuca i nie pozwalał wziąć głębokiego oddechu. Strzelały deski w skwierczących w ogniu walących się drewnianych chałupach.

Pierwsza wroga seria rozbiła polski erkaem znajdujący się tuż przy „Kotwiczu”, zabijając na miejscu celowniczego. Drugi partyzant, ten od amunicji, również trafiony, odczołgał się na bok i dogorywał teraz w samotności, jęcząc cicho. Następna seria strąciła liście z drzew i odłupała parę drzazg ze ściany nad „Kotwiczem” i „Orwidem”. Ale



*Partyzanci z Nowogródzczyzny na stanowisku z cekaemem Maxim  
(Narodowe Archiwum Cyfrowe)*

.....

kolejna nie chybiła już celu. Pierwszy zginął „Ostroga”. Major Kalenkiewicz padł martwy trafiony kulą prosto w czoło. Jego adiutant próbował go jeszcze ratować i odciągnąć poza zasięg nieprzyjacielskiego ognia, ale natychmiast dostał trzy pociski w pierś i znieruchomiał u nóg swego dowódcy.

Widząc śmierć komendanta, kilku spanikowanych partyzantów rzuciło się do ucieczki. Zostawili towarzyszy na stanowiskach

i próbowali ratować własne życie. Zdezorientowani nie wiedzieli, w którym kierunku się wycofywać, i kluczyli raz w jedną, raz w drugą stronę, otumanieni przez gęsty, duszący dym. Zamieszanie potęgowało cywile, którzy również chcieli za wszelką cenę wyrwać się z otchłani tego piekła. Ogień, dym i świszczące kule otaczały ich ze wsząd. Ryki palonych żywcem zwierząt i okrzyki ciężko rannych uwięzionych w płonącej stodole dopełniały obrazu zniszczenia. Pomimo tego nieliczni polscy żołnierze pozostali w obronie i strzelali do końca na osłep z kłębow dymu, celując w kierunku zbliżających się wrzasków sowieckich żołnierzy.

– *Urrra! Urrra!* – Okrzyki idących do ataku enkawudzistów zdolałyby zmrozić krew w żyłach nawet najodważniejszych. Byli coraz bliżej.

Polaków, którzy zostali na stanowiskach, rozjuszeni walką i wcześniejszymi niepowodzeniami Sowieni roznieśli na bagnietach, nikogo nie oszczędzając. Wkrótce po prawym skrzydle obrony padło i lewe, już wcześniej osłabione przez odejście „Bustromiaka” z rannymi.

Bitwa powoli zamierała i cichły coraz rzadsze strzały. Gdzieniedzie jeszcze ciszę rozrywał nagły okrzyk dobijanego polskiego partyzanta i palonego żywcem w stodole człowieka albo cichy przedśmiertny skowyt rannego żołnierza. Do zaścianka wkraczali zwycięscy Sowieni. Walka była skończona.

\* \* \*

W czasie gdy nad polskie pozycje nadlatywały samoloty nieprzyjaciela, kpt. „Bustromiak” zgodnie z ustaleniami zbierał grupę rannych do ewakuacji. Wokół siebie zgromadził kilkunastu partyzantów, najczęściej niegroźnie ranionych, i kilka kobiet. Tuż przed głównym natarciem wyprowadził ludzi na wschód od zaścianka i tam udało mu się znaleźć lukę w sowieckim oblężeniu – małą przerwę w pierścieniu



NKWD, w sam raz na wycofanie się w ciszy całego polskiego oddziału. Mając przed sobą wolną drogę i możliwość odejścia bez szwanku, kapitan, do którego dotarły już dźwięki rozgrywającej się właśnie krwawej bitwy, zawahał się. Obejrzał się raz i drugi na płonące za plecami piekło. Pomyślał o „Kotwiczu” i towarzyszach.

– Zaczekajcie! – Wstrzymał wszystkich i nasłuchiwali przez moment. – Nie słyhać ognia erkaemu naszej prawej flanki. Tam miał być major. Trzeba sprawdzić, co z nim, i przekazać chłopakom, że tutaj jest droga otwarta. Mają jeszcze szansę się wycofać.

Głos „Bustromiaka” brzmiał nienaturalnie głośno w przejmującej ciszy, jaka zaległa wśród żołnierzy. Długo nie padła żadna odpowiedź. Zbyt długo. I wtedy z szeregu wystąpiła młoda, piękna sanitariuszka Eleonora Kolendo „Teresa”.

– Ja pójdę! – Jej odważna decyzja zawstydziła chłopaków z oddziału. Ale strach przed niechybną śmiercią był zbyt silny i nikt nie odważył się jej zastąpić. – Ja pójdę – powtórzyła. – Nie mam broni. Jak wpadnę, powiem, że tu mieszkam. A jak znajdę majora, pomacham do was chustką. Czekajcie sygnału.

I już pędziła schylona wśród wysokich traw, kierując się z powrotem do płonącej otchłani. Kiedy doszła do pól obsianych owsem, kule coraz bliżej bzycały nad jej głową i wzbijały tumany kurzu pod nogami. Stała niezdecydowana, ale wtedy szary, gęsty dym zasłonił wszystko. Szła więc dalej. Kluczyła po omacku i z cicha pokrzykiwała:

– Erkaem, dowódca, „Kotwicz”! Erkaem, dowódca, „Kotwicz”!

Nagle, tuż przy swoim boku usłyszała rzucone po polsku:

– Padnij!

A kiedy, czołgając się, zbliżyła się do miejsca, skąd dobiegał głos, usłyszała ostrą reprimendę znajomego partyzanta:

– Gdzie się pchasz, dziewczyno? Tu pewna śmierć!

– Ale ja muszę. Muszę odnaleźć majora.

– Major nie żyje. Rotmistrz nie żyje. Obsługa erkaemu wybita. Uciekaj! Idą na nas z bagnietami. Za chwilę będzie po wszystkim. Umykaj, póki możesz. „Bustromiak” pewnie już odchodzi ze swoimi ludźmi. Goń ich! Szybko!

– A ty? – spytała cicho.

– Będę was osłaniał. Zresztą, ze mnie już i tak niewiele zostało.

– Dopiero teraz dziewczyna zauważyła zakrwawiony brzuch partyzanta. – Pędź, bo będzie za późno!

„Teresa” odwróciła się i dojrzała kilkanaście przygarbionych postaci kierujących się w stronę lasu. Widocznie kapitan, nie mogąc doczekać się umówionego znaku, zdecydował się na odwrót. To była jedyna droga ucieczki z tego piekła. Pobiegnęła za nimi.

Poruszała się teraz wydeptaną przez oddział ścieżką prowadzącą przez łubin. Po kilkudziesięciu metrach wpadła na kpt. „Hatranka”, któremu ranę na rękę próbowała opatrywać inna sanitariuszka z oddziału, Genia Myszkówna. Dziewczyna nie mogła sobie poradzić z tryskającą z ramienia kapitana fontanną krwi. Kule świstały nad uszami i grzęzły w ziemi wokół nich. Widocznie Sowieci już ich zauważyli i skierowali cały swój ogień w tym kierunku. „Teresa” ominęła ранego kapitana i odważną sanitariuszkę. Słyszając coraz bliżej sowieckie kule, pobiegła dalej, kierując się bardziej na prawo. Daleko nie uciekła. Wpadła do głębokiego rowu pełnego błota. Próbowała jeszcze iść do przodu, ale gęsta breja sięgająca jej miejscami po pas praktycznie uniemożliwiała marsz. W końcu „Teresa” ustała. Oddychała głęboko, kuląc się na skraju rowu. I wtedy strzały zaczęły słabnąć. Za moment było już zupełnie cicho. Po paru minutach nad krawędź rowu, w którym się skryła, nadeszli Sowieci. Dostrzegli umorusaną w błocie, wystraszoną dziewczynę. Jeden z nich skinął na nią lufą swojej pepeszy i powiedział:

– *Nu diwoczka, pajdiom.*

– *Gdzie Bielżyje?! Gdzie polscy legionieści?! –* wydierali się na całe gardła sowieccy żołnierze, wkraczając do zaścianka, z którego nikt już nie strzelał. Zabudowania robiły przygnębiające wrażenie. Część budynków płonęła, część już się zawaliła. Pod nogami wałała się porozrzucana broń, amunicja i łuski po nabojach. Zgrzytało rozbite szkło, trzeszczały zwęglone szczapy drewna. I jeszcze ciała. Mnóstwo ciał polskich żołnierzy. Rosjanie z NKWD byli bardzo skrupulatni. Potraktowali leżące postacie tak, jakby to zrobiły raczej dzikie barbarzyńskie plemiona, a nie cywilizowany naród XX wieku. Każdemu bez wyjątku wbijali długi stożkowy bagnet w pierś lub w brzuch. Dźgali leżące ciała po kilka, kilkanaście razy. Nieważne, czy leżący był cicho, czy wydawał stłumione jęki. Czy był ranny, czy od dawna już nie żył. Czy miał na sobie mundur, czy cywilne ubranie.

Sowieci byli zadowoleni z walki. Po wcześniejszych niepowodzeniach zdobyli w końcu wioskę i całkowicie rozbili ugrupowanie polskich legionistów. Na rozkaz dowódców podzieli zatrzymanych w chutorze ludzi na dwie grupy – partyzantów i cywilów. Żołnierzy w polskich mundurach od ręki rozstrzelano, dla pewności dobijając bagnetami. W drugiej grupie znalazły się dwie kobiety z oddziału „Kotwicza”. „Czarna Magda” i szyfrantka Zosia z Warszawy tuż przed wejściem Rosjan zdążyły zakopać w ziemi całą kancelarię zgrupowania i rezerwy złota okręgu. Ponieważ zaliczono je do cywilnych mieszkańców zaścianka, były na razie bezpieczne.

Potem Rosjanie policzyli martwe ciała wszystkich Polaków, nie bacząc, czy byli to partyzanci, czy cywilni mieszkańcy. A kpt. Czikin poddyktował sprawozdanie:

– W wyniku walki trwającej pięć godzin zabito pięćdziesięciu trzech bandytów, wzięto do niewoli czterech. Pośród zabitych jest sześciu oficerów „białej” polskiej armii, w tym komendant polskiego bandyckiego zgrupowania major „Kotwicz”. Zdobyto sześć ręcznych karabinów maszynowych, trzy automaty, dwadzieścia dwa karabiny,



*Inspekcja „Kotwiczka” (stoi w środku grupy, z głową odwróconą w kierunku swego prawego ramienia) w 1 Batalionie 77 pp AK. Mociwczuki, luty 1944 r.*

(Electronic Museum)

.....

czternaście rewolwerów, dziesięć granatów, siedemset osiemdziesiąt sztuk różnej amunicji.

Swoje straty Rosjanie z NKWD obliczyli na osiemnastu zabitych, w tym dwóch lejtnantów (Korniejko i Bleskin) oraz dwóch sierżantów.

Tak naprawdę podczas bitwy w Surkontach zginęło trzydziestu sześciu polskich partyzantów, a pośród nich: mjr „Kotwicz”, kpt. „Hatrak”, rtm. „Ostroga”, por. Michał Pękała „Bosak”, ppor. Stanisław Dźwinel „Dzwon”, ppor. „Jary” i pchor. „Orwid”. Pozostałe straty naliczone przez Rosjan to cywilni mieszkańcy zaścianka. Według polskich szacunków, przypuszczalnie przesadzonych, straty sowieckie w tym starciu wyniosły stu trzydziestu dwóch żołnierzy. W Raduniu pochowanych jest sześćdziesięciu ośmiu Sowieców z NKWD, najprawdopodobniej poległych właśnie w czasie bitwy w Surkontach.

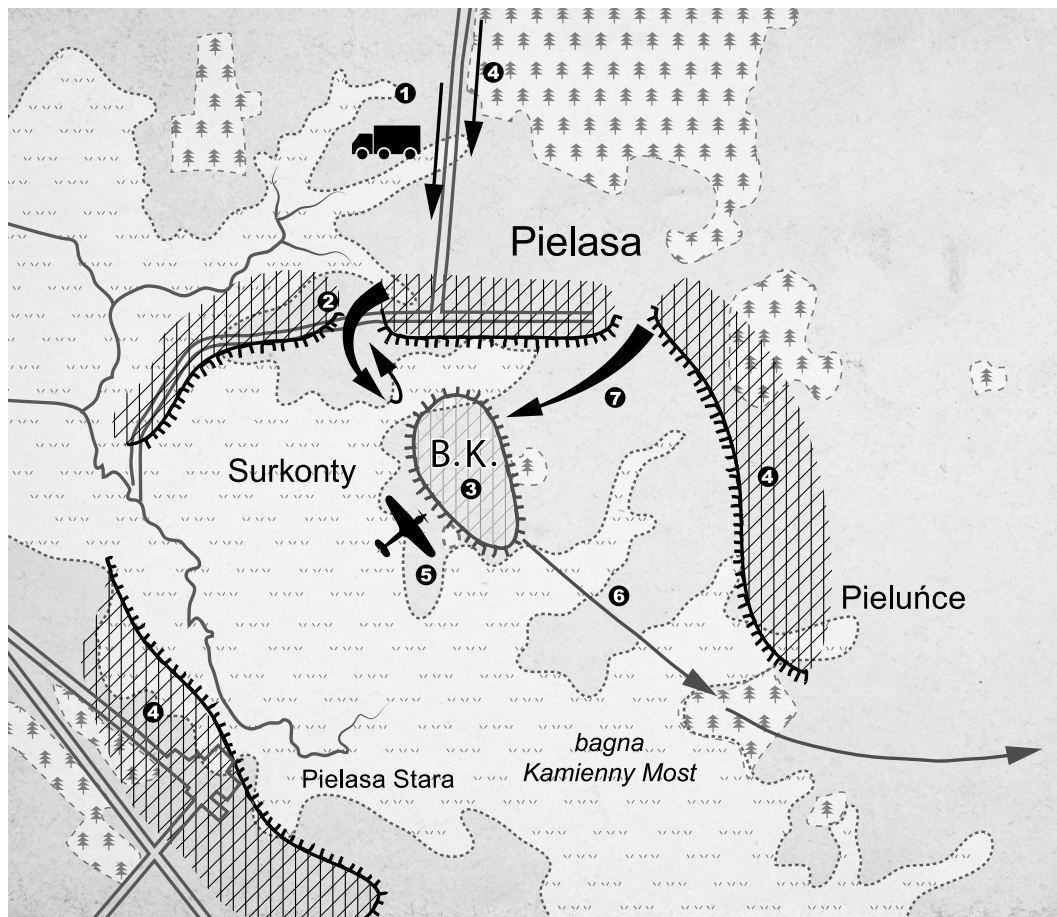
\* \* \*

Tłumaczyła się gęsto. Że mieszka tu, że zaskoczyli ją, że nie mogła uciekać. Wyglądała jak nieboskie stworzenie. Była umazana błotem, ze zwichrzonymi włosami, niewyobrażalnie zmęczona i przerażona. Uwierzyli jej. Potrzebowali tragarza. Dali „Teresie” do noszenia ciężkie metalowe skrzynki z taśmami amunicji do maxima i popędzili ze sobą do Surkont. Zwycięzcy szli do zdobytego zaścianka, a „Teresa” wracała na pole bitwy, na kresowe Termopile polskich żołnierzy.

Zanim dotarli do zabudowań, po drodze natknęli się na dwa leżące ciała. Ciężko ranny i osłabiony z upływu krwi kpt. „Hatrak” jeszcze żył. Przytomnie patrzył smutnymi oczami na dźwigającą skrzynki z amunicją „Teresę” i lekko się uśmiechał, jakby z litościwym żalem.

– *Nu, smotri* – zwrócił się do dziewczyny jeden z żołdaków i wbił w pierś rannego partyzanta długi bagnet. Raz, drugi, trzeci... Zamknęła oczy i nie liczyła już dźwięków, ale w uszach słyszała ciągle ten dźwięk. Szybki, ostry i mokry. Jak stopniowe wyciskanie życia z gąbki ludzkiego organizmu, wraz z każdym pchnięciem kłującej szpiczy zakniętej na karabinie.

Kiedy dźwięki ustały, „Teresa” otworzyła oczy. Kapitan Cieplicki już na nią nie patrzył, przestał się też uśmiechać ze współczuciem.



### Bitwa pod Surkontami 21 sierpnia 1944 r.

- |  |   |
|--|---|
| ← wojska NKWD                                      | 4 Przybycie posiłków i okrążenie Polaków                        |
| ← oddziały mjr. „Kotwicza”                         | 5 Atak lotniczy   |
| 1 Przyjazd sowieckich wojsk z Radunia              | 6 Wyjście grupy „Bustromiak”                                    |
| 2 Pierwsze natarcie, odparte przez Polaków         | 7 Drugi decydujący atak NKWD i likwidacja polskiego zgrupowania |
| 3 Obrona Surkont B.-, „Bustromiak”, K.-, „Kotwicz” |   |

Życie z niego uszło. Zza rozchylnych ust świeciły się jeszcze tylko złote zęby kapitana, które wzbudziły nagle zainteresowanie Rosjan. „Teresa” nie mogła już dalej na to patrzeć i ruszyła przed siebie, z trudem dźwigając sowieckie naboje. Ominęła nieżywą polską sanitariuszkę, którą enkawudziści również chcieli przebić bagnetem. Ale jeden z nich kopnął ciało dziewczyny i, widząc, że ta nie daje znaku życia, rzekł:

– *Nie nużno. Nie trogaj.*

Doszli całą grupą do zabudowań, w których buszowali już inni Sowieci. Obszukiwali martwe ciała Polaków i grabili ich rzeczy osobiste. Ściągali co lepsze buty, pasy, a nawet koszule niepobrudzone krwią. Poszukiwali żywych Polaków, którzy mogli się gdzieś ukryć. A wśród rannych próbowali rozpoznać polskich dowódców i oficerów. Oprócz „Kotwicza” najbardziej chcieli odnaleźć „Bustromiaka”, żywego lub martwego. Zaledwie kilka dni wcześniej ten ostatni wymknął się z ich obławy. Jeden z podejrzanych krwawych śladów zaprowadził oprawców do kopki siana. Odgarnięto zeschlą trawę i wyciągnięto z kryjówki rannego Czesława Marszałka „Żurawia”. „Teresa” widziała, jak zawleczono go pod najbliższą ocalałą chatę i ledwie przytomnego oparto o ścianę. Kiedy oprawcy podnieśli lufy karabinów, w dziewczynie coś pękło. Odrzuciła skrzynie z amunicją i podbiegła do chłopca, osłaniając go własnym ciałem przed plutonem egzekucyjnym. Sowieci chcieli ją odciągnąć na siłę, ale dostała jakiegoś amoku, wpadła w szał. Wyrwała się im i kopała nogami. Próbowwała zabierać Sowiecom karabiny i wciąż zasłaniała rannego. Płakała i krzyczała równocześnie:

– Ja go znam! To dobry chłopak. Nie zabijajcie go!

– Odejdź! To polski bandyta! Ma mundur! – wrzeszczeli na nią Sowieci.

– Nie strzelajcie! Byłam z nim w oddziale. On nigdy nikogo nie zabił... Błagam...

„Teresie” udało się chwilowo wybłągać życie dla towarzysza z partyzantki. Ale równocześnie zdekonspirowała się. Nie mogła już udawać, że jest mieszkanką polskiego zaścianka. Zabrali ją na obchód pola bitwy, na poszukiwanie i rozpoznawanie ciał polskich dowódców. To dzięki jej pomocy Sowieci odnaleźli i zidentyfikowali oficerów: „Kotwicz”, „Hatranka”, „Jarego”, „Sawczyka”, „Ostrogę” i „Wilka”.

Potem za udział w antysowieckiej konspiracji i działalność w polskich „bandach” sowiecki sąd skazał Eleonorę Kolendo na karę śmierci, zamienioną potem na dziesięć lat łagrów. Uratowanego przez „Teresę” rannego „Żurawia” zabrano do więzienia w Lidzie, gdzie zmarł po kilku dniach...

\* \* \*

Z nastaniem nocy, wykorzystując ciemności, Helena Nikicicz „Czarna Magda” razem z Zosią wykraść się z ciągle obstawionych przez Rosjan Surkont. Jednak już o brzasku postanowiły wrócić. Osobno. Zosia chciała ratować dokumenty obwodu, a „Czarna Magda” pragnęła odszukać ciało syna, o którym dowiedziała się już, że nie żyje.

Zosię pochwycili Sowieci i na domiar złego wraz z nią wpadła w ich ręce cała kancelaria „Kotwicz”, dokumenty sztabowe, pieczęcie, szyfry. Zabrali ją podobnie jak „Żurawia” do lidzkiego więzienia. Torturami próbowali bezskutecznie zmusić dziewczynę do mówienia. Zmarła, nie wydając nikogo.

Starszej „Czarnej Magdy” Sowieci nie podejrzewali o konspirację. Mogła swobodnie poruszać się po zaścianku. W końcu na prawym skrzydle polskiej obrony znalazła ciało syna i majora „Kotwicz”. Kalenkiewicz leżał na wznak z dziurą pośrodku czoła. Na jego nogach leżał „Orwid” z widocznymi postrzałami klatki piersiowej. Jego krew zabarwiła na czerwono spodnie dowódcy. Oba ciała były





*Irena Kalenkiewicz, żona „Kotwicza”, z córkami: Danutą (z lewej) i Agnieszka.  
Zdjęcie zrobione w 1941 r., „aby wysłać do tatusia, który jest na wojnie”  
(Electronic Museum)*

.....

jeszcze ciepłe, ale już bez butów. Matka zapłakała gorzko, usiadła i objęła ramionami dwóch martwych żołnierzy. Mijały minuty i godziny, a ona trwała tak bez ruchu. W końcu wstała i zaczęła działać. Z namaszczeniem obmyła obydwie ciała i poprosiła jednego z gospodarzy o wykopanie grobu. Płytki to był dołek, ale nie narzekała. Wymościła go darniną, liśćmi, a na koniec ułożyła na dnie swój płaszcz. Potem długo błagała miejscowych ludzi o zbitie dwóch trumien. W końcu znalazł się jeden odważny i na poczekaniu przygotował dwie proste sosnowe skrzynie. Zapłacił później za to zsyłką do obozu, z którego już nie wrócił.

Jesienią 1944 roku hiobową wiadomość o śmierci Macieja Kalenkiewicza zaniósł „Czarna Magda” siostrze „Kotwicza” – Annie

Kalenkiewicz-Mirowicz, zamieszkałej w Trokach. Przywiozła jej czapkę przedziurawioną kulą, koszulę i szelki.

Nieco później wiadomość o śmierci męża dotarła do żony „Kotwicza” Ireny Kalenkiewicz i ich córek – Danuty i Agnieszki. Jednak przez wiele lat w ich domu wolno było powtarzać jedynie informację, że Maciej Kalenkiewicz poległ na wojnie. Tylko tyle, bez żadnych szczegółów. Milczano o tym, w jakiej bitwie uczestniczył i z czyjej ręki zginął.

Obok grobów „Kotwicza” i „Orwida” przygotowano miejsca pochówku dla wszystkich pozostałych trzydziestu czterech polskich żołnierzy. Już bez trumien. Nad ciałami pomodlił się przez chwilę miejscowy ksiądz Litwin i pokropił nieboszczyków. Potem groby zasypano. Jako że polskich partyzantów pochowano przy starym cmentarzyku Powstańców Styczniowych, świeże groby nakryto połamanymi płytami z 1863 roku. Przez wiele lat był to jedyny ślad po bohaterach z Surkont.

Za czasów Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej nieopodal miejsca spoczynku polskich partyzantów pobudowano wielkie obory i zasiano trawą hektary pastwisk. Hodowla bydła kwitła w najlepsze (jeśli tak można powiedzieć o komunistycznych kolchozach i sowchozach). I tylko stare popękane płyty nagrobków Powstańców Styczniowych przypominały o „Kotwiczu” i jego żołnierzach. Dopiero w roku 1991, dzięki staraniom Cezarego Chlebowskiego i Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, naturalnie również za zgodą białoruskiego MSZ, wybudowano w tym miejscu cmentarz poświęcony pochowanym tam przed wielu laty Polakom. Na głównym pomniku znalazł się ogólny napis, że spoczywający w tej ziemi żołnierze AK zginęli za Polskę. Nie pozwolono na żaden dodatkowy dopisek, na przykład że walczyli o polskie Kresy i zginęli z rąk Rosjan z NKWD. Jednocześnie na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie pojawił się napis: „Surkonty 21 VIII 1944”, upamiętniający tamto wydarzenie.



*Polski cmentarz w Surkontach, otworzony w 1991 r., stan współczesny*  
(Electronic Museum)

.....

W 2013 roku, tuż obok cmentarza, w odległości trzydziestu metrów od nekropolii, władze białoruskiego kolchozu wybudowały kolejne wielkie, nowoczesne obory, planując hodowlę krów na wielką skalę. Wygląda na to, że my, Polacy, powinniśmy się cieszyć, że cmentarz w ogóle powstał i wciąż istnieje. Że pochowane tam ciała nie zostały zaorane przez pracowników kolchozu, a teren zaadaptowany na potrzeby białoruskiej hodowli bydła.

Walka o polską pamięć na Kresach ciągle trwa. W czerwcu 2013 roku nieznani sprawcy spiłowali i ukradli krzyż postawiony ledwie miesiąc wcześniej, w rocznicę śmierci ppor. Anatola Radziwonika „Olecha”, w miejscowości Raczkowszczyzna na Białorusi. Jesienią 2014 roku we wsi Kulbaki pod Grodnem ktoś zabrał tablicę i zdemolował pomnik upamiętniający ostatnich polskich obrońców Grodzieńszczyzny – por. Mieczysława Niedzińskiego „Mena” i jego żołnierzy. Monument został poświęcony tuż przed dniem Wszystkich Świętych i przetrwał w spokoju zaledwie kilka tygodni...